Rocznik III. Kraków 1-go listopada 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 5.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor. **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

SMUTNA PRZYSZŁOŚĆ.

Nie tak dawno temu, bo w lecie bież. roku, ogłosiło dwóch żydów, jeden z Warszawy, drugi z Łodzi, w pewnej gazecie niemieckiej wychodzącej w Czechach (w *Maryenbader Zeitung*), że oszustwem jest dziś twierdzenie, jakoby istniała Polska z jednym tylko narodem polskim. Żydzi bowiem, od wieków w Polsce osiedli, stanowią także naród i mają wszelkie prawa do tej ziemi, zroszonej — jak piszą — potem i trudem ich dziadów i pradziadów.

Polska, to już dziś kraj nie wyłącznie polski, czy to w zaborze rosyjskim, pruskim, czy w austryackim, ale polsko-żydowski — i takim być musi, czy Polacy chcą czy nie chcą.

A więc żydzi już całkiem otwarcie głoszą, że postanowili ujarzmić nasz naród, i dążą do tego przy pomocy wszelkich środków. Przedewszystkiem zaś, korzystając z naszej słabości i rozdwojenia, chwytają zarządy miast i miasteczek naszych w swe ręce, wywłaszczają mieszczan wykupując coraz więcej domów i zagarniając handel i nowo powstający przemysł w swe ręce.

Równocześnie łączy się żydostwo przeciw nam z wrogami naszymi, to jest z Pruskami i Moskalami i bezwzglę-

dnie nas zwalcza, aby przy ich pomocy na gruzach Polski zbudować swoje państwo przyszłości.

Chcąc nas zniszczyć, usiłują żydzi zdemoralizować nasz naród przez wydawanie i szerzenie pism liberalnych i socyalistycznych, które pod pozorem postępu zatruwają dusze wszystkich sfer społeczeństwa, a zwłaszcza ludu i młodzieży.

Głównem dziś marzeniem żydów jest utworzenie na gruzach Polski swego żydowskiego państwa przyszłości. Do urzeczywistnienia tych marzeń idą żydzi coraz widoczniej, coraz bezwzględniej, nie oglądając się na nic i niwecząc wszelkie po drodze zapory.

Podkopują wiarę chrześcijan, szerzą zepsucie moralne, wywłaszczają mieszczan i rolników, wyrzucając ich procesami lub kupnem z domu i roli, słowem stają się już panami kraju.

W tej dla nas tak smutnej, a dla nich uplanowanej i djabelskiej robocie pomaga im wiele, bardzo wiele nasza ospałość, nasze lenistwo, nasza ślepota, która nie widzi groźnego niebezpieczeństwa.

A choć czasem widzimy, co nam grozi, — to jednak dalej śpimy, nie dbając wcale o przyszłość narodu i Ojczyzny. Szczególnie miasta nasze, wielkie i małe, całkiem prawie oddały się żydom i nawet przeszły pod ich rządy, bo burmistrzami tychże i radnymi są w przeważnej części żydzi.

Tylko lud nasz zaczyna się wyzwalać powoli z pod jarzma żydowskiego. Kasy powstające we wszystkich parafiach pokonują lichwę żydowską, spółkowe mleczarnie, Kółka rolnicze i sklepy chrześcijańskie usuwają żydom grunt z pod nóg. Dlatego to znika ze wsi pachciarz, karczmarz i kupiec żydowski. Żydostwo usuwa się do miast, gdzie łatwiej o zarobek i gdzie cały prawie handel staje się jego własnością.

Chcąc zupełnie złamać wpływ żydowski i przeciwdziałać ich zaborczości, musimy trzymać się energicznie hasła: »swój do swego« i kupować tylko u chrześcijan, a przez to złamiemy butę żydostwa, które dzięki naszej ślamazarności i nieporadności zamyśla przeprowa-

dzić nowy rozbiór Polski i nas wywłaszczyć, a siebie zrobić panem naszej Ojczyzny.

I do tego przyjdzie kiedyś — jeżeli dalej spać i oczy zamykać będziemy na niebezpieczeństwo, jakie nam grozi ze strony żydostwa. Ocknijmy się już raz.

Święto umarłych.

(Legenda).

Cisza powoli zalega cmentarze... Gwar umilkł, ulatując poza bramy przybytku śmierci; zabrali go z sobą ci, co jeno raz w rok pamiętają o popiołach...

Odeszli żywi, zostali umarli. Jednych kryją darnie mogilne, a wszyscy śpią snem wiecznym pod strażą krzyżów.

Pomiędzy onymi krzyżami przesuwają się teraz trzy postacie — cicho, bez szelestu, tak — jako chodzą cienie umarłych. Co ujdą kroków kilka, to stają i za chwilę posuwają się dalej.

Większa od łuny nad cmentarzem jasność bije od nich wokoło. Lubo nie widzą jej ludzkie oczy, budzi on jednak nieboszczyków, którzy żegnając się krzyżem w trumnach, niby żywi, z radosną wdzięcznością wzrok ku niej podnoszą — oni, na wieki uśpieni, którym powiek nie otwarła taka mnogość świateł na grobach od wczesnego wieczora.

I poprzez wieka swego ostatniego posłania, poprzez zimne gruzy ziem, poprzez grube i ciężkie kamienie — widzą oni z pod mogiłek ten mały orszak świetlany, co się wciąż nuża w krzyżów powodzi.

Ot, tam, po omszałym głazie wilgotnym bosą nóżką stąpa cicho małe chłopię złotowłose; oczęta ma z rąbków błękitu, usteczka z purpury gasnącego słońca, a koszulinę białą, niby z obłoczków uszytą.

Za rączkę wiedzie z sobą niebiańskiej piękności niewiastę, ze słodyczą dobroci na ustach, a z boleścią wieczną w oczach, z długiem włosem czarnym, jak welon żałoby.

Trzecia zaś postać, co za nimi dąży krok za krokiem, ma u ramion skrzydła duże bieluchne: ni to puchy łabędzie, ni to nitki jesiennej nad polami przędzy — że zda

się, dotknąć nie ma czego; tak wszędzie wysoko sięgają, one dwa skrzydła, jako najwyższe na mogiłach krzyże... To młodzian urodziwy o niewieściem licu, z zadumą na czole, z którego spływa przez głowę do ramion strumień srebrzystych promieni.

Siłacz musi snadź być z niego, skoro krom skrzydeł tam ogromnych dźwiga jeszcze worek duży.

Co się w worze mieści, któż odgadnie? Ciężar zapewne wielki, bo się po ziemi aż wlecze; a jednak wór tak wygląda, jak gdyby go aniołki utkały z najcieńszych włókien wysnutych z blasków zorzy...

Właśnie młodzian skrzydlaty sięga ręką do worka.

Gwiazdkę wyjął z niego i chłopięciu ją podaje w chwili, gdy chłopię mówi do niewiasty:

— Matko! i tutaj pusto i ciemno na tej mogile sierotki... Ot, tamten gróbek także zapomniany, opuszczony... Sierotka już nikogo nie ma na ziemi...

— Widzę, synu — odrzecze matka — i tu i tam pozaświecaj tedy jeszcze po jednej gwiazdeczce.

— Dobrze, mamo. A ty, Rafale, będziesz miał dość gwiazdek na dalszą drogę?

— Starczy, mój Jezu — odpowie Archanioł — połowy nie ubyło jeszcze z worka.

Tymczasem Marya, zatrzymując się nad każdą zapomnianą mogiłą, obrywa drobne płatki swej szaty niebieskiej i sypie je na nią garściami. Na groby spadają z rąk jej niezapominajki.

Gdzie zaś, idąc tak ciągle we troje, natrafią na grób nie sieroty, lecz nieboszczyka, którego rodzina żyje, a zapomniała o jego kurhanie w Zaduszki, tam Jezus, nie doszukawszy się w trawie niedopałka świeczki, kładzie lampkę ze wspaniałego pomnika, gdzie było świateł za wiele... Marya zaś, zdjąwszy stamtąd jeden z wianków, na krzyżu pustym zawiesza go mocno, by nazajutrz niczyja ręka zerwać nie mogła tego kwiecia...

Tak chodzą do świtu, od grobu do grobu, powoli, troskliwie — chociaż spieszno im bardzo, bo za jedną noc muszą się uporać ze wszystkiemi cmentarzami na ziemi.

. . . .

Kędy najciemniejsze leżą rzędem groby, gdzie ani śladu nie było światełek, ani kwiatów, a gdzie krzyżyk do krzyża chyli się skromniutki jeden za drugim — wiedzie Anioł stróż za rękę dziewczynkę małą.

W tem spotykają Jezusa z Matką, więc pokłonili im się nisko.

A Syn Maryi pyta Aniołka:

— Dokąd to wiedziesz tę duszyczkę dziecięcą?

— To sierotka Jezu!...

— A dawno umarło to dziecię?

— Na wiosnę jeszcze.

— A matka?

— Na rok przed córeczką jedyną poszła do nieba...

— Więc czegóż szukacie tutaj?

— Mój Jezu, tu pod mogiłkami leży matka tej maleńkiej dzieweczki..,

— W którym grobie?

— Właśnie nie wiadomo.

— A uboga była twoja matka, dziecino? — zagadnie Jezus duszyczkę.

— O, bardzo była biedna! Zimno bywało u nas w izbie i jeść nie było co w domu... Bardzo biedna była mama...

— Toż po śmierci — dodał Aniołek — pochowali kobietę pospołu z innymi biednymi we wspólnym grobie. Szukamy właśnie jej ciała... Tej nocy najjaśniej na cmentarzu, dziś tedy prowadzę sierotkę między groby, które odszukamy...

— Znajdziesz swoją matką, dziecino, nie płacz, duszyczko moja — pocieszała Marya dzieweczkę, a w tem Jezus grób wskazał jeden, w którym wszyscy zaczęli grzebać mozolnie, aż natrafili na ciało matki płaczącej sierotki.

Wtedy wynieśli je ze wspólnego dołu i cichutko przenieśli do mogiłki dziecięcia, które odtąd spało już w ziemi razem ze swą matką.

Powrócił Jezus mateczkę biednej sierotce. A potem z Maryą z Archaniołem poszli dalej, jak Pielgrzymi, między groby, między krzyże...

Ostatnia pieśń.

Kres mój życia niedaleki:
cichy czeka grób,
Nikt nie zamknie mi powieki,
nie utuli w sen na wieki
nie obejmie stóp.

Ktoś wykopie dół z litości,
taki zwykły dół
i ludziska przyjdą prości
i ułożą w trumnę kości
i uchylą czół.

I gdzieś może tam oracze
przystaną wśród pól,
bo wiatr, co zna łzy tułacze
jękiem dzwonów w głos zapłacze,
głosząc wieczny ból.

W rok na grobie z pierwszą wiosną
zejdzie polny kwiat
potem trawy grób zarosną
i za drugą, trzecią wiosną
już zaginie ślad. — — —

— — — Tak, jak cicho zmierzch zapada,
jako milknie pieśń,
jako więdnie lilia blada
niech i człowiek się układa
— cicho w grobu pleśń.

PORTRET.

I.

Byłem podówczas trzechletniem dzieckiem, kiedy ojcu memu wypadło się przenieść z pod Radomia w góry

Świętokrzyskie, gdzie zadzierżawił piękną majętność. Część naszych ruchomości, przytem bydło i trzody wyprawiono już na nowe gospodarstwo; dla uporządkowania zaś domu ojciec mój, który nigdy nie lubił rozstawać się z żoną, tym razem widział się zmuszonym wysłać ją naprzód, wraz ze mną, a sam kończył jeszcze różne interesy.

Przy pożegnaniu, które było bardzo czułe, bo prawie pierwsze od pobrania się, mówił ojciec mej matce:

— Dziś zajedziesz do państwa Różyców, tam zanocujesz, jutro przed południem staniesz na nowem gospodarstwie, a na wieczór spodziewaj się mnie niechybnie.

Jak mój ojciec ułożył, tak się też stało. Po gościnnem przyjęciu u państwa Różyców, wyjechaliśmy nazajutrz ze świtem, a na dziesiątą przybyliśmy na miejsce.

Matka moja, nie chcąc ludzi od innych zatrudnień odrywać, wzięła tylko ze sobą pannę służącą i starego furmana; część zaś domowników, którzy rzeczy wieźli, wróciła z podwodami dla zabrania reszty, mając je w nocy lub nazajutrz dostawić. Byliśmy więc niejako samotni w ogromnym staroświeckim dworze, którego komnaty wysokie, obicia ciemne, ruszające się za każdym drzwi otworzeniem, portrety przodków pana dziedzica i ciasne korytarze dziwną sprzeczność tworzyły z dawniejszą siedzibą, szczupłą — o wybielonych ścianach, nizkich okienkach — ale wesołą i schludną.

Że dzień był słoneczny, a bardziej jeszcze, że trzeba się było zająć się ustawieniem zwiezionych mebli, matka moja — w ustawicznym ruchu — nie doznała żadnego przykrego wrażenia, owszem, cieszyła się mieszkaniem obszernem i tak rozłożonem, że mogła na wszystkie części gospodarstwa kobiecego pilne mieć oko.

Jakoż na ciągłem znoszeniu, ustawianiu, przybijaniu zeszedł dzień Boży. Wieczorem matka, zmęczona, rzuciła się na kanapę w sypialnym pokoju, a ja, szczebiocąc, zasnąłem powoli na jej kolanach.

Służąca postawiła świecę, podała wieczerzę i zaczęła rozpowiadać różne banialuki o strachach murowanego dworu, o którym jej stary miejscowy nabajał ogrodnik.

Matka śmiała się i żartowała z jej łatwowierności, gdy tymczasem mocny wicher zaszamotał oknami, zaczęło grzmieć, błyskać się, i deszcz lunął jak z cebra.

— Ach, dobry Boże! co się tam z moim mężem dzieje? Pewnie go w drodze burza napadła — rzekła moja matka, składając ręce.

— Toby gorsze było niż wszystko — wtrąciła bojaźliwie służąca. — Na całe obejście żywego ducha niema, prócz głuchej klucznicy i krowiarki, a bór świętokrzyski dokoła. Najlepiej niechby pani kazała przyjść furmanowi wartować przez noc.

A któż zostanie przy koniach? — odpowie matka. — Prędzej je co złego, niż nas, spotkać może a — wreszcie jestem pewna, że mąż nadjedzie.

Jeszcze jakiś czas rozmawiały; burza wciąż szumiała. Mnie położono w kolebce, służąca robiła pończochę i zaczęła drzemać.

— Tobie się spać chce, Małgorzatko — rzeknie moja matka. — Idź, wyśpij się do jutrzejszej pracy, a ja będę czekała na męża, aż nadejdzie.

Małgorzata wymawiała się tem, że nie rada opuszczać pani, lecz na zaręczenie matki, iż się niczego nie boi, poszła do swego pokoju, zawezwawszy na straż bezpieczeństwa głuchą klucznicę.

II.

Zamknąwszy dobrze sień i drzwi od sypialni, matka moja nakręciła zegar, który właśnie wpół do jedynastej uderzył i postanowiła nie kłaść się, choć walczyła ze snem, przywierającym jej powieki.

Przechadzała się wzdłuż i wszerz po komnacie, która teraz dopiero wydała się jej okropnie posępna: sufit bowiem, malowany olejno, obwisł i w starości swojej ledwo dozwalał odgadnąć herb i jakieś symboliczne figury; złocone ramy czas poczernił; ściany, powleczone chińskiem obiciem, za którem harcowały szwadrony myszy, a nad łożem wisiał duży portret z wyobrażeniem króla Jana, pod nim mały wizerunek na blasze Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Około północy, kiedy słuch matki zmordował się łowieniem odgłosu mającej zajechać bryczki, kiedy mimowolna trwoga zaczęła ściskać jej serce, przystąpiła do mojej kolebki, pocałowała śpiącego i ukląkłszy przed cudownym obrazem, modliła się gorąco o szczęśliwy powrót męża.

Modlitwa ta odbywała się w wewnętrznem rozmyślaniu, a czasem głośnem westchnieniu, w miarę, jak obawa nią miotała, wzrok zaś często zwracał się ku obrazowi, niby odgadując odpowiedź w nieruchomych rysach Bogarodzicy.

W jednem z takich uniesień oko jej podniosło się wyżej i zawisło na wspaniałej twarzy króla. Zdawało się jej, że wzrok portretu był na nią zwrócony i że przenikał ją do głębi.

Ale o cudo! król Jan mrugnął...

Nie wierzy sobie, przeciera oczy, żegna się i patrzy.

Świeca stojąca za nią na stole, odbija się jak w dwóch gwiazdach, na ciemnem tle płótna.

Patrzy znowu... powtórnie mruknął. Mruga i jeszcze mruga.

To nie sen! Ona przy zmysłach, czuje i widzi. Słucha...

Jakiś szmer za portretem; jeszcze raz odważa się spojrzeć, ale oczu już nie ma. W ich miejsce dwa wielkie, ciemne doły...

Co się z nieszczęśliwą matką działo, nie umiem opisać, bo i ona opowiadając to, zawsze w tem miejscu umilkła, jakby mierząc grom przestrachu, który znieść musiała. Jednakże w ważnej tej chwili pokazała się bohaterką niepospolitą; rozwaga wzięła górę nad uczuciem i naprowadziła ją na myśl, że w domu tym pełnym kryjówek, mógł się schować złodziej, czatujący zapewne na pełną szkatułę jej męża.

Cóż pozostało? Stłumić wszelki przestrach, a nawet ukryć najdrobniejszy pozór podejrzenia.

Mimo tego pomysłu, co ducha jej pokrzepił, nie miała jednak dość siły, ażeby podnieść się z ziemi. Szczęściem zacząłem kwilić w kolebce, to zwróciło jej myśl na drugą jeszcze istotę, tak blisko jej będącą.

Zerwała się, uchwyciła mnie konwulsyjnie na ręce i, tuląc do piersi, usiadła w kącie kanapy.

— Niczego się teraz nie boję — szepnęła — twoja niewinność oboje nas ocali.

III.

Uspokojenie nie przychodziło tak prędko. Deszcz zdawał się zwiększać.

— Jeżeli mąż nie nadjedzie, będę musiała całą noc przepędzać pod okiem zbójcy, a kto wie, jakie on knuje zamiary — myślała sobie.

Chciała już wraz ze mną rzucić się ku drzwiom i uciekać... ale dokąd? gdzie szukać pomocy? Choćby wypadła na wieś, kto jej [zaręczy, że dokoła domu nie czatują wspólnicy?

Czuwać do dnia białego? To to samo, co wzbudzić podejrzenie w szpiegujących oczach, co wywołać złoczyńcę, aby miasto kradzieży popełnił zbrodnię...

Kiedy tak rozmyślała, zegar pierwszą uderzył.

— Już się go nie doczekam — zawołała dość głośno. — Położę się bom znużona.

I ułożywszy mnie na swojem łóżku, zaczęła się powoli rozbierać, to rozczesując włosy i chowając je pod nocny czepek, to rozwiązując całe pół godziny wstążkę u trzewika, to drugie pół odpinając haftkę u sukni... A słuch jej ciągle wytężony: na dworze deszcz zdawał się ustawać, tylko wiatr szumiał... już nie wie, jak dokończyć tej okropnej roli...

Zegar drugą uderzył...

— Trudno odwlekać, niech się co chce, stanie — westchnęła gorąco i biegnie położyć się...

W tem czy nie złuda? słucha... coś pod oknem zaturkotało... trzask z bicza i głos jej dobrze znany.

— To mąż, to Franuś! — krzyknęła, biegnąc drzwi otworzyć.

I niebawem wszedł mój ojciec dobrze przemokły, za nim służący, który zaczął znosić tłomoki.

— Ty nie śpisz jeszcze, Maryniu? — mówił do zawisłej u jego szyi. — Co ci to? drżysz cała. Uspokój się!

Ale ona, prawie omdlewając, padła mu na ramiona, że musiał ją złożyć na sofie.

— Nie gniewaj się na mnie, Bóg świadkiem, nie mogłem pierwej przyjechać, bo ten przeklęty deszcz tak nas złapał, że musieliśmy stąd o ćwierć mili w karczmie przeczekać.

— Ach nie, mój drogi! Jam tak szczęśliwa z twego przybycia!

— Alboż co złego stało ci się bezemnie?

— Nic, nic — i ścisnęła go mocno za rękę.

— Nie rozumiem cię, cóż to jest?

Ona położyła palec na ustach i rzekła donośnie:

A interes, czy dobrze ci poszedł?

— Wybornie! Oto pięćset sztuk złota gotówką! — I brzęknął workiem.

— Trzeba je schować do biurka, które postawiłam obok naszego pokoju. U ciebie jest kluczyk.

— Będzie dosyć czasu jutro.

— Lepiej teraz. Zobaczysz, jak w dobrem miejscu stoi — mówiła pieszczotliwie matka, ciągnąc ojca za sobą.

IV.

Po krótkiej rozmowie w drugiej izbie, wyszedł mój ojciec trochę zmieszany, spojrzał ukosem na portret i rzekł do lokaja:

— Zostań tu, Macieju, a ja tymczasem rozporządzę ludźmi; którzy resztę naszych rzeczy przywieźli.

Nie minęło kilka pacierzy, a drzwi od sypialni się otworzyły i wszedł mój ojciec w towarzystwie ekonoma i kilkunastu chłopów z ogromnymi drągami.

— Macieju, pistolety moje!

Obejrzał podsypkę, a odwiódłszy kurek, posunął się ku obrazowi.

— Wychodź, złoczyńco! — krzyknął piorunującym głosem.

Podstarości i czeladź otworzyli zdziwione oczy na tę osobliwszą przemowę do portretu.

— Kapitulujemy — ozwał się głos za obrazem.

— Z mistrzem na szubienicę! — odrzekł mój ojciec.

— Kiedy tak, to jeszcze mam nadzieję wygranej...

I za pociągnięciem sprężyny, portret się otworzył, a w dość szczupłej framudze ukazała się postać rabusia, który, robiąc bardzo grzeczny ukłon, powitał całą kompanię i wypalił duser mej matce.

— To Bogusławski! — krzyknął podstarości, świecę do jego twarzy zbliżywszy — wpadłeś ptaszku, do klatki. Tym razem pewnie podyndasz!

— Hej, chłopcy! Wiązać go! Rząd wyznaczył sowitą nagrodę za jego głowę!

— Prędzej ucho swoje zobaczysz, niż owe tysiąc talarów za moją głowę — odrzekł rozbójnik obojętnie, gdy go krępowano powrozami.

I dotrzymał słowa.

Bo kiedy go dostawiono do Kielc, nie zamknięto go dla spóźnionej pory do kryminału, lecz do ratusza, obstawiwszy gmach gęsto wartami. Na drugi dzień, gdy przyszli po niego, żywego ducha nie znaleźli, choć ani mur nie był przebity, ani kraty wyłamane, ani w komin się nie schował, bo nawet pieca nie było w tej izbie.

Pogłupieli wszyscy i byli pewni, że łotr ma spółkę z dyabłem! A on śmiał się z nich w duchu pod podłogą. Albowiem znalazłszy źle przybite deski, podniósł je, ubił ziemię i sam się położył pod niemi. Upatrzywszy chwilę, gdy izba nie była zamknięta, wyszedł i okradł jeszcze burmistrza.

Oto koniec tej okropnej sceny; wszyscy z niej wyszli dość obronną ręką, prócz mojej matki, która bohaterstwo swoje odchorowała śmiertelnie i ogrodnika, który — jak się okazało — był z Bogusławskim w porozumieniu, za co go sąd skazał na lat kilka więzienia.

NOWOCZESNA WOJNA.

Jeszcze przed kilku laty sądzono, że walka na bliz-kość, potykanie się żołnierza z żołnierzem, już należy do niepowrotnej przeszłości. Po zaprowadzeniu zwłaszcza karabinów repetyerowych dowodzono powszechnie, że nad-

zwyczajna doniosłość strzałów tej najnowszej broni palnej zniesie na zawsze walkę na blizkość, a prowadzenie wojny oprze na zręcznych obrotach. Powiadano: »Zwycięży armia posiadająca lepsze buty«.

Wojna rosyjsko-japońska zadała kłam tym poglądom. Pod Portem Artura, pod Mukdenem i w licznych innych bitwach Rosyanie i Japończycy walczyli piersią w pierś, a bagnet, na który spoglądano z lekceważeniem, odzyskał swoje prawa. W wojnie tej używali Japończycy także granatów ręcznych, które już od stu przeszło lat poszły w zapomnienie. Wobec tego, po wojnie rosyjsko-japońskiej wszystkie prawie mocarstwa zaczęły zajmować się bronią do walki na blizkość, czyniąc na tem polu rozległe próby, co znów dało pochop do nowych wynalazków.

W ostatnich czasach ulepszono bomby ręczne, które mogą stać się rzeczywiście bronią bardzo skuteczną. Bomby te mają oddawać małym oddziałom takie usługi, jak działa. Bomba taka ma kształt kuli średniej wielkości, a na dnie ma wpuszczony cienki pręt. Napełniona jest nową, nieznaną dotychczas materyą wybuchową i zaopatrzona jest w zapalnik perkusyjny. Za pomocą wielce misternego przyrządu, żołnierz przytwierdza taką bombę do lufy karabinu przy jej otworze, poczem wkłada do karabinu specyalny do tego celu nabój. Żołnierz mierzy, pociąga za kurek, a skutkiem strzału bomba leci na odległość około 60 metrów i uderzając o ziemię, wybucha, niszcząc wszystko w promieniu 10 metrów. Sfery wojskowe przywiązują do tej nowej broni dosyć wielkie nadzieje, zwłaszcza przy szturmie na miejsca obronne.

Nowym środkiem wojennym innego rodzaju są pociski balonowe. Balon na uwięzi jest niejako okiem armii nowożytnej. Unosi się na wysokości kilkuset metrów, a w łodzi jego znajduje się kilku oficerów sztabu jeneralnego, którzy mają na swe usługi telefon. Z tej wysokości oficerowie donoszą jenerałom o ruchach wojska nieprzyjacielskiego. Oczywiście obie strony walczące usiłują nawzajem zniszczyć te balony celnemi strzałami. Dotychczas używano do tego celu dział o lufach dających strzały w górę, ale nie zawsze jest możliwe działa takie umieścić na odpowiednich pozycyach. Prócz tego mierzenie do balonu nie

jest rzeczą łatwą. Wobec tego powstała myśl zaopatrzenia tak piechoty, jako też konnicy w pociski balonowe, wyrzucane za pomocą karabinów Mannlichera.

Pocisk ten ma budowę zajmującą. Tylna jego część jest wydrążona i zawiera materyę palną, przeznaczoną do wywołania wybuchu gazu, wypełniającego balon. Ażeby zaś pocisk, posiadający szybkość wielką, przebiwszy powłokę, nie poleciał dalej bez wywołania pożądanego skutku, na końcu jego umieszczone są cztery sprężyny, przylegające ściśle do podłużnych ścian pocisku. One otwierają się i wirują razem z kulą naokoło jej osi podłużnej. Kula taka rozdziera powłokę balonu mniej więcej na przestrzeni metra kwadratowego, a jednocześnie materya palna, w tyle pocisku umieszczona, wywołuje wybuch gazu w balonie i zupełne jego zniszczenie. Załoga znajduje śmierć, spadłszy na ziemię.

Noc, jak powiada poeta, jest wrogiem człowieka, podczas wojny każda armia obawia się ciemności nocnych. Pod osłoną nocy nieprzyjaciel zazwyczaj przygotowywa ataki niespodziewane i wtedy górą jest ta strona, która zna lepiej ten teren. Podczas wojny w Afryce południowej, Anglicy w taki sposób ponosili straty najcięższe.

Wobec tego zarząd armii austryackiej zwrócił uwagę na pociski świetlne, zaopatrzone w materyę świecącą i przyrząd spadochronny, skutkiem czego dosyć długo unoszą się w powietrzu i rzucają światło na znaczną odległość.

W najnowszych czasach wynaleziono pociski świetlne dla karabinów. Wypełnia je masa, złożona głównie z magnezyi, która, paląc się, daje światło silne. W ten sposób także małe oddziały mogą w nocy oświetlać teren. Na ostatek wspomnieć należy o nowych granatach, przeznaczonych dla dział, strzelających w górę. Granaty te napełnione są również nową materyą wybuchową. Dotychczas używane granaty rozpryskują się w kierunku strzału, to znaczy na przód. Skutkiem tego pociski podobne nie mogą wyrządzić wielkich strat oddziałowi, ukrytemu za szańcem dostatecznie wysokim.

Nowy granat zapobiega temu, gdyż odrzuca odłamki w kierunku odwrotnym, to jest w tył. W ten sposób oddział, ukryty za wysokim szańcem, wcale już nie będzie

ochroniony przed działaniem podobnych granatów. Ochronę przed niemi będą mogły dać tylko dachy betonowe.

Jak widać z powyższego, ludzkość wysila się bez przerwy nad sporządzaniem nowych środków śmierci i zniszczenia. Trzeba jednak przyznać, że jednocześnie wzrasta też liczba pomysłów, dążących do ochrony życia ludzkiego, tak, że wojny nowoczesne, jak to wykazała wojna rosyjsko-japońska, nie są krwawsze od wojen dawniejszych.

TRYPOLIS.

Przed dwoma przeszło tysiącami lat, rzucał w senacie rzymskim Marcus Porcius Cato raz po raz swoje groźne słowa: »zresztą sądzę, że Kartaginę zburzyć należy«. Czynił to zaś w obronie swej ojczyzny rzymskiej, której Kartagina swym pomyślnym rozwojem bardzo zagrażała.

I zburzyli Rzymianie Kartaginę, a dziś ich potomkowie płyną znowu w owe strony na olbrzymich i pancernych okrętach, uzbrojonych w dalekonośne działa, by zająć ten kraj afrykański napowrót, względnie, by go przemocą odebrać Turcyi.

Nie zastaną tam dzielnych Kartagińczyków, a garść zbiedzonych Arabów i Turków nie zagraża bezpieczeństwu ani dobrobytowi królestwa włoskiego. Włosi zdobywają Trypolis, bo im się tak podoba, zdobywają, bo Anglia zabrała Turkom Egipt, Francya Tunis, Austrya Bośnię i Hercogowinę, bo biorą inni, więc i Włosi chcą mieć Trypolis.

Znawcy atoli twierdzą, że ofiary będą większe, jak się Włochy spodziewają, a zysk bez porównania mniejszy. Dawna Kartagina była zbiornikiem bogactwa, dzisiejszy zaś Trypolis jest zbiornikiem nędzy.

Kto dziś nogą stąpi na to wybrzeże, trudno tylko wyobrazić sobie może, że istniały tu ongi kwitnące rzymskie i greckie kolonie, że kraj ten wydał sławnych filozofów i uczonych, że stąd bogate karawany rozwoziły skarby daleko od Sudanu, a później Kościół katolicki po-

siadał dobrze urządzone dyecezye i bogato uposażone kościoły.

Nieliczni podróżni, którzy po długim pobycie w mieście Trypolis, wyuczywszy się dokładnie krajowego narzecza i zyskawszy przyjaciół pomiędzy Arabami, dotarli do wnętrza, dają obraz kraju tak nędzny, że pożądliwość włoska dozna z pewnością ciężkiego zawodu

Ludność kraju podają źródła tureckie na 1 milion, z czego 302 tysiące w sandżaku Benghazi, reszta we właściwym Trypolisie.

Właściwych miast jest w kraju tylko cztery: Trypolis, Hams, Rhat i Rhadames. Główne miasto Trypolis liczy około 40 tysięcy mieszkańców, tu też najliczniej osiedli Europejczycy i miejscowi żydzi. Mieszanina ras, barw i strojów nawet na Wschodzie niezwykła. Najliczniej spotyka się ludność z wybrzeża, w długich białych płaszczach, przerzuconych przez ramiona i ułożonych we fałdy nakształt rzymskiej togi. Na resztę odzienia składa się długa, płócienna koszula, spadająca na pantalony, i barwna, bez rękawów kamizelka.

Bardziej barwną i malowniczą jest odzież ludności z Rhadamas. W największy upał mężczyźni noszą dwa, nawet trzy różnobarwne burnusy, tak ułożone, że widać wszystkie barwy, czerwone pantalony i wyszywane haftem obuwie.

Groźno wyglądają z okolic Sahary przybywający karawanowi Arabi z rodzajem czarnej, sukiennej maski, zakrywającej nos i usta, ustrojeni w zwierzęce skóry. Oparci o wysokie lance, tworzą na wybrzeżu malownicze grupy.

Bezdomny murzyn tak zwany »hammal« wynajmujący się jako tragarz ubiera się w rodzaj worka z otworami na głowę i ręce; murzyni osiadli ubierają się bardziej po europejsku i noszą na głowie fezy. Pomiędzy temi grupami snują się miejscowi żydzi w długich kaftanach i Maltańczycy w wielobarwnych, sukiennych koszulach. Wszyscy oni czują się tu w domu, nikt nie uważa drugiego za przybysza, wszyscy porozumiewają się pomiędzy sobą doskonale i mają prawie te same zwyczaje. Obcym zupełnie w tej masie jest Turek. Turecki urzędnik czy żołnierz czuje

się tu w cudzym kraju, trzyma się na uboczu i niema z resztą ludności żadnych stosunków.

Miasto Trypolis przedstawia się już z daleka jako długi rząd białych, połyskujących dachów, wśród których sterczy siedm strzelistych minaretów i parę kopuł miejscowych łaźni. Cała architektura jest tu zupełnie turecka, pozbawiona artystycznego rozmachu arabskich miast.

Wzdłuż wybrzeża ciągną się wspaniałe palmowe gaje, podszyte gęsto wiecznie zielonymi krzewami, wśród których widnieją małe jasne domki i kopuły świętych grobów. Za wachlarzami palm, jak błyszcząca kresa na horyzoncie, przebija żółta pustynia, martwa i groźna, jak wcielenie śmierci.

Samo miasto, jakby skamieniało, podróżnicy z przed stu laty zostawili opisy, które w niczem nie różnią się od opisów z dnia wczorajszego. Ciasne uliczki, z których najwspanialsza ma pięć metrów szerokości, przeważnie jednopiętrowe domy, bez żadnych ozdób, drewniane bazary, kioski z kawiarniami albo sklepowe hale, gdzie goście siedzą na brudnych rogożach, palą nardzile i popijają kawę — oto cały obraz miasta.

O dawnej rzymskiej kulturze świadczą jeszcze tylko tu i ówdzie wmurowane w domy starożytne kolumny. Pałac miejski, a raczej twierdza, wygląda dość imponująco, ale bardzo ponuro. Jest to olbrzymia, daleko w morze sięgająca budowla, otoczona grubym obronnym murem z licznymi tarasami na dachach, krętymi schodami, balkonami i krużgankami Tu mieszka i rezyduje wali i tu znajdują się wszystkie urzędowe biura.

Właściwych Europejczyków jest w mieście niewiele, bo to, co zowie się kolonią europejską, po większej części niema z cywilizacyą europejską nic wspólnego. Są to włoskie rodziny z Genuy, Livorno lub Wenecyi, od lat może stu tu osiadłe, zupełnie zarabizowane, lub młodzi tutejsi żydzi, którzy po jednorocznej praktyce handlowej w Londynie lub Marsylii, ubierają się w strój europejski. Właściwych Europejczyków niema ani pół tysiąca, na co składają się urzędnicy żeglugi lub konsulatów i poczty, garstka zakonników i kilkadziesiąt nauczycielek i nauczycieli, przeważnie włoskich. Rząd włoski bowiem, który nie od dziś

zabór Trypolisu przygotowuje, utrzymuje tam szereg szkół, do których uczęszcza do tysiąca dzieci, w czem 80 procent żydowskich.

Oryginalnem jest, że żydzi i Arabowie przyjęli nawzajem swoje zwyczaje, tak, że ich prawie odróżnić nie można. Tak n. p. żydówki po śmierci członka rodziny zawodzą w zupełnie ten sam sposób po arabsku, jak Arabki, kiedy Arabowie w takim wypadku odbywają żydowskim obyczajem pokutę. U jednych i drugich kobiety są dla gościa niewidzialnemi, a nawet w codziennem życiu męscy członkowie rodziny osobno zasiadają do jadalnego stołu.

Cały ten mieszany i hałaśliwy tłum żyje z handlu, ale z handlu najnędzniejszego, a żyje tylko dzięki praktykom, które w Europie śmiało nazwanoby oszustwem. Drobna zarobkowość jest prawie wyłącznie w ręku Maltańczyków; żony i córki tych kramarzy i rzemieślników zajmują miejsce kucharek, praczek i t. p. Jedynie krawiectwo znajduje się w rękach żydów.

Żydzi trypolitańscy od dawna tu osiedli; poza miastami, szczególnie w górach, przyjęli zupełnie zwyczaj arabskie i żyją jak biedni Arabowie w chatach podziemnych, wykutych w wapieniu. W mieście odznaczają się pewnym wyższym stopniem cywilizacyi i łagodnością, natomiast tak są niechlujni, że podróżnik Maltzan złośliwie nazywa ich »polskimi żydami Afryki«. Inny podróżnik (Grothe) nie może nadziwić się ich tchórzliwości. Widziałem — opowiada — jak wygłodzony żołnierz turecki ukradł ze synagogi lampę. Dobra setka żydów otoczyła go, prosząc błagalnie o zwrot świętej rzeczy, a wreszcie targ w targ odkupili za medzidje (4 koron) od złodzieja rzecz, którą śmiało mogli mu siłą odebrać. Pobożni są tutejsi żydzi tak, że jeśli zaproszą innowiercę na obiad, to całe naczynie, z którego jadł, rzucają potem na śmietnik.

Murzyni miejscowi zarabiają na życie, jako tragarze, poganiacze i t. d. Zresztą cała ludność wogóle tak ma skromne wymagania, że dorosły mężczyzna ma się za wielkiego pana, jeśli przez dzień zjadł melon i za 5 centymów ryżu. Nieżonaci mężczyźni sypiają z reguły pod arkadami meczetów albo pod lada murem. Murzyni — ale

tylko żonaci — budują sobie szałasy z gałęzi palmowych i trzciny.

Rolnictwo opiera się tu na dożywotniej dzierżawie, przyczem rolnik za swoją ciężką pracę dostaje tylko jednę piątą część plonu, cztery piąte zaś właściciel gruntu; tylko przy plantacyach oliwy rolnik i właściciel dzielą się plonem po równej części. Plagą rolnictwa jest lichwa; nawet na zastaw płaci się za pieniądz około 60 procent.

Sądownicwo tureckie — już w Turcyi dość znane — w Trypolitanii urzęduje zupełnie salomonowym kształtem. Jeden z podróżników był świadkiem następującej rzeczy: do sali, w której urzęduje Kaimakan, z wielkim krzykiem wpada młoda dziewczyna i wśród namiętnej gestykulacyi oskarża młodego Araba, że spotkawszy ją w polu przemocą zniewolił do miłości. Dwaj »sapti« (policyanci) sprowadzają zbrodniarza. Kaimakan wsparł głowę na dłoniach i duma. Po dłuższym czasie ogłasza wyrok: albo do trzech dni udasz się do domu jej rodziców z podarunkami ślubnymi i prowadzisz ją jako żonę do haremliku, albo pójdziesz do »habs« (więzienia) i dostawać będziesz dziennie po 25 kijów, dopokąd się nie namyślisz. Skazany na żonę lub kije wybrał żonę, a swoją drogą kije zachował zapewne dla niej.

Warunki zdrowotne w Trypolisie są pomyślniejsze, niż w krajach sąsiednich, malarya występuje tam stosunkowo dość rzadko, cholera, dżuma nie srożą się nigdy w tym stopniu, co w sąsiednim Egipcie.

Klimat charakteryzuje wybitny podział roku na dwie pory: zimową deszczową i letnią suszę Temperatura w lecie dochodzi znacznej wysokości, jest jednak znośną. W ogóle klimat Trypolisu podobny jest do klimatu nadbrzeżnych prowincyj Sycylii i w razie kolonizacyi, zwłaszcza dla południowych Włochów, nie nastręczałby żadnych trudności

W starożytności, szczególnie za rzymskiego panowania w pierwszych wiekach po Chrystusie, Trypolitania uchodziła za jędnę z najbogatszych prowincyi Rzymu i dostarczała dużo zboża i oliwek. Gdy jednak Arabowie zdobyli ten kraj, ustał zupełnie rozwój kraju. Nie podniósł się on też wiele pod panowaniem tureckiem, i obecnie tylko

nieznaczna część ziemi trypolitańskiej podlega uprawie, podczas, gdy za czasów rzymskich kolonie sięgały w głąb pustyni, jak o tem świadczą pozostałe ślady.

Wszyscy znający atoli stosunki ekonomiczne Trypolisu przepowiadają mu możliwość rozwoju w przyszłości. Przyszła kolonizacya Trypolisu, dla której Włosi prowadzą dziś wojnę z Turcyą, natrafi jednak na niemałe trudności. Przedewszystkiem dotkliwym jest brak wody. Cała przestrzeń kraju od tunetańskiej granicy do prowincyi Barka posiada tylko jednę małą rzekę, w której woda w letnich miesiącach wysycha. Okres deszczowy obejmuje miesiące od października do marca, w drugiej jednak połowie padają deszcze rzadko. Można też być pewnym, że ludność mahometańska zachowywać się będzie w obec najezdzców włoskich wrogo i odpornie.

W każdym jednak razie Trypolis, mimo wszystkich trudności, przedstawia dla kolonizacyi europejskiej teren podatny i wartościowy. Czy jednak Włochy znajdą dość wojskowej siły by kraj ten zdobyć, czy następnie będą mogli rozporządzać wystarczającymi środkami finansowymi, by go dla kolonizacyi uczynić podatnym, rzeczą jest dziś jeszcze wątpliwą.

Łowiectwo w dawnej Polsce.

Odmienne ono było oczywiście od dzisiejszego, jak odmiennymi są ludzie, zwyczaje, stosunki i urządzenia społeczne. Teraźniejsze polowanie to śmieszna zabawka wobec dawnych łowów, których uczestnicy obok zręczności, przebiegłości i siły musieli okazywać odwagę w potykaniu się z rozjuszonym dzikiem, wilkiem, czy niedźwiedziem.

O niebezpieczeństwie łowów na dziki i niedźwiedzie świadczy stare przysłowie myśliwskie:

»Gdy idziesz na niedźwiedzia szykuj łoże, a gdy na dzika — mary«.

Lecz nie opisywanie przygód łowieckich jest przedmiotem naszej gawędy. Pragniemy w krótkim, szkicowym zarysie uprzytomnić dawne polskie prawa łowieckie i za-

razem określić u r z ą d łowczych z czasem tylko tytularnych dworskich urzędników, przedtem jednak czynnie i z niemałą odpowiedzialnością spełniających swe faktyczne obowiązki.

Ongi polowanie, zwłaszcza na grubego zwierza, należało do praw książęcych i królewskich, jako *jus regale*. Prawo polskie jeszcze w dobie piastowskiej nakładało surowe kary na polujących na cudzem terytoryum. Tak zwane dziś kłusownictwo narażało winowajców na więzienie i chłostę. Wydawano też przepisy ochronne, zabraniające polowań w pewnych, określonych terminach. Król Władysław Jagiełło w 1420 roku postanawia, żeby nie ważono się polować od św. Wojciecha (23 kwietnia) aż do zupełnego sprzętu zbóż.

Uchwały sejmowe zabraniały wybierać młode lisy, również przejmować ściganego przez innych myśliwych zwierza, lub chwytać psy gończe. W roku 1775 sejm uchwalił, że wolno jest polować jedynie w czasie od września (w tydzień po św. Bartłomieju) do dnia 1-go marca.

Statut litewski nie dozwalał łowów na cudzym gruncie i określał surowe kary na tych, którzyby za ranionym zwierzem wchodzili na obce terytoryum. Wyjątek czyniono jedynie co do lisów i wilków, których tępienie było nakazanem, a nawet nagradzanem. Pod koniec XVIII. wieku żył w powiecie oszmiańskim szlachcic zagonowy, Tomasz Łuba, który za specyalność obrał sobie tępienie wilków i lisów. Liczba pierwszych dosięgła tysiąca, za co otrzymał znaczną nagrodę, pozwalającą mu zakupić spory szmat ziemi.

Musiało być w wieku XVI. wiele niewiast polskich zamiłowanych w myśliwstwie, skoro tak o nich pisze Łukasz Górnicki: »Niewiast, bawiących się niekiedy łowiectwem nie wspominam, bo tych w Polsce pełno. Tradycya przechowała nazwisko panny Karoliny Zborowskiej, zapewne krewnej słynnego Samuela, która miała pasyę polować z oszczepem na dziki. Wiele dzików owa *hic mulier*, a raczej *virago*, położyła trupem, lecz w końcu padła ofiarą niebezpiecznej rozrywki i to w przeddzień ślubu ze starostą Kmitą. Zaciekły odyniec pozbawił życia 18 letnią narzeczoną, zanim ktobądź zdołał nadbiedz z pomocą.«

W jednej z kronik z 1287 roku są wymienione różne sposoby łowieckie, a między temi: stępice i jamy. Pierwsze były to zatrzaski drewniane, używane jeszcze przed kilkunastu laty na wilki, drugie stanowiły doły jako samołówki, nazywane także wilczodołami lub wilkowniami.

Za czasów piastowskich, gdy kraj nasz był lesisty, a bory i knieje przepełnione wszelkim zwierzem, stanowiły rodzaj spiżarni dla książąt i narodu, łowiectwo stanowiło korzystny przemysł, a urząd łowczego bardzo ważny przedstawiał obowiązek. Kroniki mówią o łowczych Bolesława Chrobrego w dokumentach zaś z lat 1208, 1228 i 1248 wspomniany jest już wszędzie łowczy pod łacińską nazwą: *venator*. W dokumencie kujawskim z 1250 roku czytano wyraźnie, że łowczych urządzających polowanie książęce zwano psiarzami, mieli bowiem pieczę nad sworami ogarów.

Do składu urzędników Rzeczypospolitej należeli: łowczy koronny, łowczy litewski, łowczy nadworny i łowczowie po ziemiach, którzy nosili tytuły bez żadnych obowiązków, jedynie dla zwyczaju i uświetnienia majestatu króla jegomości.

Skrzetuski w »Prawie polskiem« powiada: »Łowczowie nazywani od dozoru nad polowaniami królewskiemi«. Podług Lelewela byli i podłowczanie, ale urząd ten nie uzyskał stałego bytu.

Panowie polscy, których podstawą kuchni żywiącej luźne rzesze sług, dworzan i gości bywała zawsze zwierzyna, mieli luźną służbę łowiecką Oto nazwy tych specyalistów od różnego rodzaju polowań: łowczowie, podłowczowie, nadłownicy, strzelcy, polownicy, dojeżdżacze, ptasznicy, sokolnicy, bażantniki, zwierniki (dozorcy zwierzyńców), stanownicy, kotłowi, objezdnicy, osacznicy, sielnicy, szczuwacze i psiarczyki.

Radziwiłł »Panie kochanku« miał tego rodzaju stały orszak myśliwski, złożony z 300 ludzi, pobierających stałą pensyę. Łowczymi, podłowczymi i nadłowczymi była u niego sama szlachta, a niejeden za urządzenie udatnego polowania pod humor księcia otrzymywał w nagrodę wioskę pod dożywocie.

Sokolnikiem księcia »Panie kochanku« był również szlachcic, a nazywał się Raczyński. Posiadał on rzadko już wówczas spotykaną sztukę tresowania sokołów do łowów. Do Raczyńskiego po sokoły przysyłano z dworów monarszych. Fryderyk, król pruski, wielki amator polowania z sokołami zapłacił za dwa tresowane sokoły 200 talarów. Radziwiłł, uznawszy, że to za skąpe, jak na króla, wynagrodzenie trudu Raczyńskiego, z połowy drogi zawrócił posłańców i sokoły odebrał.

— Macie tu, panie kochanku swoich 200 talarów, a powiedzcie królowi waszemu, że Radziwiłł dopłacił Raczyńskiemu jeszcze drugich 200, a jak mu się podoba, to zrobi prezent królowi jegomości.

Już to wogóle łowiectwo w dawnej Polsce było fachem, wymagającym wielu praktycznych wiadomości, a dobrych łowczych ogólnie poszukiwano. Ludzie ubodzy znajdowali na tej drodze u możnych niezły kawałek chleba. Zasłużony strzelec wychodził zwykle z biegiem lat na łowczego.

Zawsze jednak trzeba odróżnić łowczych oficyalistów od łowczych urzędników. Ci ostatni mieli takie same znaczenie, jak leśnicy, podczaszowie, stolnicy, podstolowie i t. p. Żona łowczego nazywała się »pani łowczyna«, córki »łowczankami», a syn »łowczycem«.

Wędrówka narodów.

W przeciągu ostatnich 39 lat wyemigrowało z Europy do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki około 19 milionów 657 tysięcy ludzi, to jest tyle, ile wynosi całkowita ludność Hiszpanii.

Ilość emigrujących w ostatniem dziewięcioleciu (1902 do 1909) wynosiła 8 milionów, podczas gdy w jednem z poprzednich dziesięcioleci (1871 do 1886) wynosiła niecałe 3 miliony.

Z ogólnej liczby 20 milionów, przeszło 15 przypada na Anglię, Niemcy, Austryę, Włochy i Rosyę; z nich najwięcej na Wielką Brytanię (4 miliony), najmniej na Rosyę

(2 i pół miliona). Jeżeli jednak będziemy te liczby szczegółowo rozpatrywać, to zauważymy, że w owem 40-leciu potężnie wzmogła się emigracya z Rosyi, Austro-Węgier i Włoch, natomiast z Anglii, a zwłaszcza z Niemiec — znacznie spadła.

Nowoczesna wędrówka narodów przedstawia się w takiej postaci: ludność Stanów Zjednoczonych wzrasta wskutek napływu emigrantów Słowian z Austro-Węgier i z Rosyi, Włochów oraz Celtów z Irlandyi; Anglia i Szkocya wysyłają nadmiar ludności do własnych kolonii.

Natomiast znacznie zmniejszyła się emigracya z Niemiec do Ameryki, — za to zaczęła napływać ludność niemiecka do ziem słowiańskich. Emigracya ta jest zupełnie celowa, dobrze zorganizowana i ma na celu powolne kolonizowanie i niemczenie ziem przeważnie słowiańskich.

Są jednak społeczeństwa słowiańskie, które temu najściu Niemców stawiają czoło z powodzeniem, są to te narody mianowicie, które będąc w odwiecznej z Niemcami styczności, nauczyły się od nich samodzielności i energii w walce o byt

Tak n. p., Czesi ani Słoweńcy zupełnie nie są narażeni na napływ kolonistów niemieckich. Chorwacya i Bośnia mają pewien procent Niemców dzięki polityce Austryi. Najłatwiejszy zaś teren kolonizacyi dla Niemców stanowi Rosya. Znamiennem jest, że narody słowiańskie pozbawione swej samodzielności, stanowią opór kolonizacyi niemieckiej, samodzielne zaś państwo, jak Rosyę kolonizują Niemcy coraz więcej.

Plany międzynarodowego socyalizmu.

Komisya generalna socyalistycznych związków zawodowych w Niemczech zaprosiła niedawno temu do Berlina francuskie związki zawodowe. Takie zaproszenia i wizyty zdarzają się w ostatnich czasach dość często. W Berlinie była niedawno deputacya robotników angielskich, potem zastępcy związków belgijskich; był nawet jako za-

stępca związków amerykańskich towarzysz Gomnerts. Tym razem przybyli francuscy związkowcy.

W dniu 24 lipca zgotowano im w wielkiej sali domu rękodzielniczego wielkie przyjęcie, które miało mieć charakter — manifestacyi pokojowej. Oczywiście spodziewają się, że przez te odwiedziny nastaną przyjaźniejsze stosunki pomiędzy robotnikami obydwu krajów i że zaprowadzona zostanie jakaś jednolitość w działalności.

Przewodniczący komisyi generalnej socyalistycznych związków, poseł do parlamentu Legien, wykazał w wielkiej mowie różnicę, jaka zachodzi pomiędzy zapatrywaniem niemieckich i francuskich socyalistów; francuscy socyaliści przejęci są więcj duchem rewolucyjnym, niemieccy zaś towarzysze nie wierzą w to, aby przez zaburzenia lub okolicznościowe domonstracye dało się coś osiągnąć, lecz, że trzeba się przygotować przez rozszerzenie i wzmocnienie organizacyi na przyszłą rewolucyę. Zgodni są jednak socyaliści obydwu krajów w dążeniu do usunięcia wyzysku kapitalistycznego. Wroga nie trzeba szukać poza granicami kraju! wróg nasz jest we własnym kraju, a tym wrogiem to kapitalizm i jego zastępcy, to są rządy i zastępcy państwa.

Jak po takich mowach zachowa się gorącokrwisty Francuz, to można łatwo sobie wystawić. Yvetot, syndyk francuskich związków zawodowych, chwalił urządzenia związków niemieckich, ich siłę i pełne kasy. Tego brakuje związkom francuskim, za to posiadają one więcej zapału i poświęcenia dla swej sprawy. Środki są rozmaite, ale cel jest ten sam. Wróg jest i we Francyi ten sam co i w Niemczech. Yvetot podziwiał szczególnie wysiłki socyalistów w celu pozyskania i wychowania młodzieży i miał tak powiedzieć wedle sprawozdania specyalnego *Berliner Tagebl.*

»I my będziemy musieli w przyszłości więcej na to wydawać. Młodzież musi wzrastać w poczuciu solidarności ludów, bo szaleństwem jest to, że jeden naród chce drugiemu odbierać kraje. Gdyby rządy usiłowały podburzać ludy przeciwko sobie i pędzić jeden naród do walki z drugim, to pokażemy im, że ludy mają inne piękniejsze zadania do spełnienia. Spróbujcie tylko, wy głupcy, podburzyć jeden naród na drugi, uzbroić jeden naród przeciw drugiemu,

a zobaczycie, że ludy zrobią zupełnie inny użytek z broni, którą im daliście do rąk. Zobaczycie, że narody nie będą zwalczały wroga, jak wy myślicie. My wszyscy powrócimy do domu przejęci uczuciem solidarności ludów, dla których istnieje tylko jedna walka, walka z ciemiężycielami, z wyzyskiem i systemem zarobkowym. (Burzliwe długotwałe oklaski)«.

Trzeba przyznać socyalistom, że mają odwagę wypowiadania coraz otwarciej swych dążeń. Podobnie postępować winni także katolicy i również śmiało stawać w obronie społeczeństwa i chrześcijaństwa.

Nasze szkolnictwo.

Według ostatniego sprawozdania Rady szkolnej krajowej z roku 1908/9 mamy w kraju szkół ludowych 5.164 z 13 tysiącami klas i okrągłym milionem uczniów i uczennic uczęszczających na naukę codzienną, obowiązkową, i około 200 tysięcy uczniów i uczennic uczęszczających na naukę dopełniającą.

Zastęp nauczycieli i nauczycielek pracujących w tych szkołach wynosił 13 tysięcy 419 osób. Co roku zwiększa się ilość szkół ludowych mniej więcej o 150 nowych zakładów; zwiększa się też ilość uczniów i uczennic w tych szkołach o 30 tysięcy, a na kursach uzupełniających o 10 tysięcy. Wydatki kraju na szkoły wzrastają z roku na rok przeszło o pół miliona koron.

Gimnazyów i szkół realnych mamy 65, a uczęszcza do nich około 40 tysięcy uczniów i uczennic.

W tych szkołach pracuje około 1.800 nauczycieli.

Ze wszystkich krajów koronnych Austryi, wykazuje Galicya największą ilość gimnazyalistów; podczas gdy na przykład na Śląsku na 10 tysięcy ludności przypada 23, w Czechach i na Morawach 27 uczniów gimnazyalnych, to w Galicyi jest ich 40. Natomiast gdy w Czechach i na Morawie przypada na 10 tysięcy ludności 27 realistów, to w Galicyi tylko 5. Znamiennem jest i to, że gdy w innych krajach zmniejsza się liczba uczniów uczęszczających do gimna-

zyów, a zwiększa się liczba uczniów szkół realnych, to u nas dzieje się przeciwnie.

Zauważyć dalej trzeba, że w Czechach i na Morawach coraz więcej młodzieży uczęszcza do szkół zawodowych, których nasz kraj nie ma w dostatecznej i odpowiedniej ilości.

Mało mamy szkół rolniczych i przemysłowych i fachowych, zwłaszcza tych ostatnich, to też powstające cegielnie, fabryki dachówek i drenów muszą dla braku wykształconych w kraju werkmistrzów sprowadzać tychże z Niemiec lub Czech, bo nasz rząd krajowy poczytuje utworzenie w kraju zakładu dla kształcenia werkmistrzów za sprawę mniej pilną.

W szkolnictwie handlowem, tym najmłodszym dziale szkolnictwa fachowego w naszym kraju, widać ruch nieco większy, a że ludność odczuwa potrzebę i pożytek skierowania młodzieży na ten dział zawodowego wykształcenia, to świadczy o tem coraz większa liczba uczniów szkół handlowych!

Rozmaitości.

Liczebność masoneryi.

Istniejące w Neuchatel „Biuro międzynarodowe stosunków masońskich“ wydało w tym roku rocznik międzynarodowej masoneryi, z którego dowiadujemy się następujących danych statystycznych.

Na całym świecie jest 26.855 lóż masońskich, liczących 1 milion 744 tysięcy 878 członków. Pism masońskich wychodzi 113; z tych przypada na Niemcy 21. Lóż tak zwanych wielkich istnieje 107: 3 w Anglii, 13 w Niemczech, 10 w krajach romańskich, 59 w Ameryce północnej, 6 w Ameryce środkowej, 9 w Ameryce południowej, 7 w Australii. Najwięcej lóż ma Ameryka, najmniej znajduje się w księstwie Luksemburg.

W Anglii, Irlandyi i Szkocyi	jest lóż	3972,	członków	220.000
w Niemczech	„ „	4890,	„	54.000

we Francyi jest lóż	543,	członków	36.000
w Belgii „ „	21,	„	700
we Włoszech „ „	327,	„	15.000
w Hiszpanii „ „	79,	„	3.169
w Portugalii „ „	148,	„	2.887

Kiedy jest choroba (przedewszystkiem zapalenie płuc) najniebezpieczniejsza.

Jeden z lekarzy z nad Renu wyraża się o swej praktyce w następujący sposób: „Ludzie młodzi, na zewnątrz dobrze wyglądający, ieraz umierali z powodu zapalenia płuc. Na ogół ludzie z sercem zdrowem chorobę tę przezwyciężają. Jednakże ludzie nad Renem, którzy do ciągłego picia piwa są przyzwyczajeni, swoim czerstwym i dobrym wyglądem nieraz bardzo omylić się mogą. Tem ciągłem używaniem alkoholu serce i krwionośne naczynia uszkodzone, nie zdołają się oprzeć chorobie i jej przetrwać nie mogą. Bo — jak wiadomo — serce wtenczas i owe naczynia intenzywniej pracować muszą“.

Klinika uniwersytecka w Kolonii statystycznie wykazała, że liczba zmarłych na zapalenie płuc u pijaków w 41 do 50 roku życia jeszcze raz jest taka duża, jak u niepijących; od 51 do 60 roku życia — trzy razy; od 31 do 40: 4 razy, a od 20 do 30 roku życia nawet 10 razy.

Czy wobec tych liczb jeszcze kto powie, że alkohol nie działa szkodliwie na serce i naczynia krwionośne?

Ile lat człowiek prześpi?

Jeśliby komuś powiedzieć, że przespał lat 20, toby ruszył ramionami, jak przed waryatem. A jednak... Pewien Anglik obliczył (bo czego oni nie obliczają), że człowiek, licząc około 60 lat życia, przesypia lat 20. Liczy on dzień w ten sposób: 8 godzin snu, 7 godzin roboty, $1^1/_2$ godziny na obiedzie, trzy godziny rozrywki, $2^1/_2$ ruchu, 1 godzinę na toaletę i 1 na próżnowanie.

Dalej 3 całe lata przeznacza człowiek normalny na jedzenie, 9 miesięcy na czekanie na usługę; do roboty właściwej pozostaje $17^1/_2$ roku, $7^1/_2$ roku na zabawę, $6^1/_2$

na przechadzki. Dwa lata i 6 miesięcy przepróżnował w swoim życiu, z czego 2 miesiące na czyszczenie nosa. Robienie toalety kosztowało owego Anglika 2 lata i 6 miesięcy.

Dla modnisi byłoby to zupełnie niewystarczającem. Znany statystyk obliczył, że mężczyzna w ciągu roku oddaje przeciętnie do 1.206 uścisków dłoni, jeśli się przy tej czynności zużytą energię obliczy, to otrzyma się ją w latach 60 tyle, ile potrzeba do podniesiena 2.500 ton ciężaru.

Ponieważ dalej człowiek w jednym roku wypowiada 11,800.000 słów, w tym samym czasie otwiera i zamyka oczy swe 95,000.000 razy, przeto siła wytworzona przez to przez lat 60 podniosłaby do wysokości 10 stóp wóz tramwajowy zapełniony publicznością.

Co to jest miliard.

Większość ludzi nie ma wyobrażenia o tem, co to miliard. Pewien niemiecki uczony takie daje o miliardzie wyjaśnienie: Miliard marek niemieckich w złocie waży 333.580 kilogramów, a możnaby nim zapełnić kostkę, której każda z sześciu płaszczyzn mierzy 17 metrów kwadratowych. Gdyby tej masy wyciągnięto drut, możnaby nim opasać całą ziemię. Miliard w srebrze już waży pięć milionów kilogramów, kostka musiałaby w tym wypadku posiadać płaszczyzny o wielkości 477 metrów kwadratowych.

Aby przetransportować miliard w złocie, potrzeba 64 wagony, które musiałyby zająć tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów. Miliard w srebrze wymaga już 1000 wagonów po 5 tonn, zajęłyby one 6 kilometrów toru.

Gdyby miliard w złocie znajdował się w jednej bryle, to do podniesienia jej potrzebaby było 6.000 ludzi, a 32 tysiące osób musiałoby miliard w złocie dźwigać, gdyby każda z nich zabrała tylko 10 kilogramów. Do miliarda w srebrze potrzebaby już 500 tysięcy ludzi. Gdy się miliard złotemi monetami ułoży, jedną obok drugiej otrzyma się długość 1050 kilometrów, a gdy się monety ułoży

jedna na drugiej, otrzymamy kolumnę wysokości 33 tysiący metrów.

Chirurgia w starym Babilonie.

Jedno z pism francuskich (Actualité) podało tymi czasy ciekawe szczegóły o stanie chirurgii w Babilonie przed 3 ma i 4 ma tysiącami lat. Z tych czasów pochodzą mianowicie napisy tak zwane klinowe, odkryte niedawno przez francuskich uczonych. Są to, jak się zdaje, ustawy państwowe. Wynika z tych napisów, że wynagrodzenia chirurgów były w Babilonie stałe i ściśle określone.

Tak więc za operacyę „przy pomocy noża“ płacono 12 szekeli (moneta znana z biblii), czyli 15 koron. Na ówczesne stosunki suma to bynajmniej nie wygórowana. Nie lepiej się opłacały inne praktyki chirurgiczne. Za zestawienie złamanej nogi otrzymał chirurg babiloński tylko 8 i pół korony, ale za wyrwanie zęba dostawał aż 5 koron (4 szekele).

Gorzej rzecz się miała ze stanowiskiem społecznem i prawnem chirurga w ogóle. Na końcu tej taksy chirurgicznej dodano zastrzeżenie królewskie, na mocy której chirurg może żądać zapłaty tylko za udaną operacyę. W razie przeciwnym podlegał chirurg surowej karze. Jeśli pacyent umarł wskutek nieudanej operacyi, karano chirurga ucięciem obydwu rąk, by już nie mógł więcej szkodzić ludziom... Dodać należy, że wspomniane napisy zawierają jeszcze mnóstwo innych interesujących szczegółów i przyczynków do historyi medycyny przed kilkudziesięciu wiekami.

Przestrzeganie tajemnic w fabrykach Kruppa.

Pierwszym i najgłówniejszym warunkiem, na jaki zgodzić się musi każdy nowy pracownik w fabryce armat i innych wyrobów żelaznych Kruppa w Essen (w Niemczech), jest zobowiązanie się do zachowania tajemnicy we wszystkiem, co w zakładach widzi lub słyszy. Mimo tego zobowiązania się wszystkich do ścisłego zachowania tajemnicy,

stara się dyrekcya jak najściślej o to, aby każdy dowiedział się tylko tyle, ile potrzebuje koniecznie do spełnienia swej pracy.

W biurach podaje się korespondencyę z rąk do rąk tylko w zamkniętych skrzynkach, a pod wieko szkłem pokryte wsuwają tylko nazwisko tego, który jest uprawniony do otwarcia skrzynki. Tylko gdy skrzynkę otworzyć można specyalnym kluczykiem, nie piszą adresu. Jest więc niemożliwem, aby ważne papiery dostały się w niewłaściwe ręce.

W sali rysunkowej przechowują każdy papierek przez noc w szafach stalowych ogniotrwałych i opancerzonych, że złodziej się do nich dostać nie może. Urzędnicy muszą zmieniać ubranie zanim rozpoczną pracę dzienną i gdy opuszczają pracę. Posiłek spożywają wszyscy w osobnych salach jadalnych.

Na takich stanowiskach, gdzie nie można zapobiedz, aby urzędnicy nie wiedzieli o tajemnicy, płaci im Krupp tak wysokie pensye, że ludzie ci nigdyby się nie dopuścili przekupstwa, szczególnie dotyczy to kierowników przy wyrobie płyt pancernych i w werkach stalowych.

Oporny milioner.

U wybrzeży hrabstwa (powiatu) Essex (w Anglii), mieszka od lat 20 na własnym statku milioner amerykański Brown. Nie wychyla on się czasem poza obręb tego pływającego mieszkania całymi tygodniami, to znów urządza wycieczki po wsiach nadbrzeżnych, jakby tylko po to, aby sypać wśród ubogich rybaków złoto pełnemi garściami.

Władze hrabstwa dawno już zwróciły uwagę na oryginała i starają się ściągnąć z niego podatek dochodowy, jak od każdego z mieszkańców Anglii. Brown wszelako opiera się temu, broniąc się twierdzeniem, że nie mieszka na ziemi angielskiej, lecz na jachcie pod flagą amerykańską.

Dotychczas wymówka ta uchodziła jakoś Brownowi, obecnie sąd hrabstwa wydał wyrok, skazujący Browna na zapłacenie podatku za całe lat 20, motywując orze-

czenie swoje tem, że każdy z bogaczów mógłby w ten sposób, jak Brown, unikać płacenia podatków przez zamieszkanie na statku.

W tem tylko rzecz, jak podatek od Browna wyegzekwować, władze bowiem angielskie nie mają prawa zająć ruchomości na jachcie pod obcą flagą. Brown zaś kazał rozpalić ognie pod kotłami i szykuje się do odjazdu. Ludność Essexu z zaciekawieniem śledzi, jak się skończy ten zatarg władz z opornym milionerem.

Drzewo deszczowe.

W południowej Ameryce, w kraju peruwiańskim, odznaczającem się niezwykłem bogactwem roślinności, rośnie gatunek drzewa, które Indyanie nazywają *Tamais kapi*, co znaczy „drzewo deszczowe“. Duże to drzewo o gęstych liściach posiada własność zgęszczania pary, znajdującej się w powietrzu. Na liściach drzewa osadzają się krople wody; które następnie w postaci gęstego deszczu spadają na ziemię.

W czasie suszy, gdy rzeki wysychają, a rozpalone powietrze posiada dużo pary, wtedy jej zgęszczenie odbywa się bardzo energicznie; wtedy też duże krople nietylko spadają obficie z liści i gałęzi drzewa, lecz woda sączy się i po jego pniu, odwilżając duże przestrzenie ziemi i dokoła drzewa deszczowego.

Ponieważ drzewo deszczowe można hodować bez wielkiego trudu, a gatunek ziemi jest mu prawie obojętny, rolnicy peruwiańscy zamierzają skorzystać z własności tego drzewa i rozsadzać je na polach, aby zapobiedz w ten sposób stałym w tym kraju posuchom.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.